

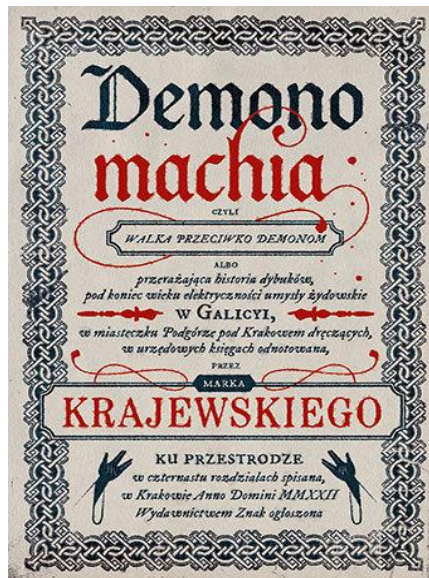
Demonomachia

(Dokończenie ze strony 19)

bywa przyjemny. Bo jaki ma być inny, jeśli krakowski świat, bez względu na to czy żydowski, czy katolicki, jest smutny, szary, ponury, pełen brudnego śniegu, chlapy, błota, w którym grzęzną trzewiki lub stare, dziurawe gimnazjalne buty, a wieczorne i poranne mrozy nie są wdzięcznym darem natury dla ubożego studenta, wędrownego introligatora, tym bardziej bezdomnego karła. I właśnie w takiej scenarii toczyć się będzie walka nie tyle z dybukami, lecz nauki z przesadami, biedy z bogactwem, obyczajności z rozpamiętaniem, katolicyzmu z talmudyzmem, bohemy artystycznej z mieszczańską przyzwoitością. Tak jak w przypadku dwóch światów, rzeczywistego i fantasmagorycznego, których rozdział jest niepewny, czasami iluzoryczny, wręcz irracjonalny, postaci z różnych warstw społecznych, o innych poglądach, wierze i stosunku do moralności, przekraczają granice, które z początkiem fabuły wytycza im autor. To powoduje, że czytelnik staje się zdezorientowany, szukając zła i jego korzeni. A brud, niegodziwość, nieprawość i grzech są uśpione. Chwilę jedynie trwa ich emanacja. Zdaje się złudzeniem, niedyspozycją zawrotem głowy, zaćmieniem umysłu świadka. Gdzie zatem szukać prawdy? I czy za pomocą logicznego myślenia, czy wiary w życie pozagrobowego?

Tropiąc ślady dybuka bądź dowodząc jego nieistnienia, maturzysta Stefan Zborski przemierza krainę ciemności, do której drzwi otworzył sobie seansem spirytystycznym, poszukując duszy ojca. Jego odyseja po mieszkaniach profesorskich, gabinetach radców prawnych, salonach artystycznych, zatęchłych piwnicach, pracowniach malarskich, aulach duchownego seminarium to zderzenia z kolejnymi postaciami podsuwanymi przez autora, którego czytelnik zaczyna sobie wyobrażać jako złośliwego demiurga, rozstawiającego z ironicznym uśmiechem figury na planie Losu i co rusz przesuwającego je z zaciętością grozą części na stronę jasnego dnia. Młody człowiek, podobnie jak czytelnik, jest zagubiony. Nie jest przekonany do podjętych przez siebie decyzji. Lawiruje między rafami młodości. Pierwszą miłością, alkoholowym szaleństwem, poszukiwaniem mistrza, nauczyciela, opiekuna, mecenatu, przyjaciela. Porzucany i zrezygnowany, nagle odzyskuje nadzieję. I tak w kółko. Od kleryka po erotyczny kasek żony swojego dobroczyńcy. Z łóża safonu do uczonych rozpraw z talmudystami. Itaki jednak nie widać na horyzoncie. Podobnie jak Penelopy. Kirke i Kalipso, czyli Regina Feintuch i Rachela Ostersetzer nie wypuszczają Zborskiego ze swych diabelskich ramion. Czy jest przez nie opętany? Gdzie czai się zło? Wydaje się rzeczą oczywistą, że to w młodych kobietach czają się demony, ale przecież są znakomicie wyedukowane, eleganckie, europejskie, nowoczesne i związane z najnowszymi trendami nauk humanistycznych. A co najważniejsze popiera je liberał, ateista,

znany i szanowany akademik Manfred Aurbach: „Spojrzał na profesora. »Sinusoida – myślał – znów ta przeklęta sinusoida. Ciemny zabobonny lęk, a później jasne światło rozumu (...)«. Usiadł, założył ręce na brzuchu, a swoje kciuki wprawił w ruch kołowy. – Mam nadzieję, że wywiąłem panu z głowy te widziały, choć częściowo. – Był teraz bardzo poważny. (...) A wieczorem... – Ściszył głos i pochylał się przez biurko ku Zborskiemu. – A wieczorem niech pan je dobrze wychędoży! Obie! To będzie nagroda specjalna dla pana. – Wstał i szepnął na ucho swemu rozmówcy. – Mam nadzieję, że podzieli się pan nią ze mną... Co, panie Stefanie?” [1]



Gdzie szukać ratunku? Wśród rabinów, talmudystów czy księży profesorów i doktorów? Zborski po dwóch latach studiów opuszcza seminarium duchowne, a powody wcale nie są takie, jakże podali dziekan wydziału teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor tegoż wydziału oraz ojciec duchowny seminarzystów. Z kolei przyczyny śmierci starego rabinu w synagodze, które ustaliła ekspoztura c.k. policji w Podgórzu, mimo udowodnionej ingerencji sowy płomienistej, a nie strzygi lub strzygonia, też nie wydają się niepodważalne: „Sowa ta mieszka w całej Europie i Azji Północnej – czyta. W miastach, a mianowicie w wieżach kościelnych i pod dachami. Głos jej chrapania śpiącego człowieka podobny dał nieraz łatwowiernemu ludowi okazję do rzetelnych strachów, a połamane niekiedy w kościołach świece i powyrwane lampy chodzeniu upiorów przypisane były”. [2] Los jednak wynagradza Zborskiemu owe niemiłe przeżycia. Jako niedoszły ksiądz, ale po wygłoszonym referacie o Lucyferze już obiektywny ekspert, który naukowo zajmuje się demonologią porównawczą, staje przed sądem rabinicznym, żeby udowodnić nieprawdziwość zarzutów o opętanie przez dybuka pewnej znanej mu młodej damy.

Marek Krajewski nie zaplanował, że orzeczenie znawców żydowskiego prawa religijnego przyniesie jakiegokolwiek wyjaśnienie. Niewątpliwie, jak w kryminałach o Mocku i Popielskim, furtkę do wyjaśnienia zagadki

jedynie uchylił. Przecież wiadomo, że sprawiedliwość w swoje ręce zawsze musi wziąć ktoś z pozoru do tego niepredestynowany. Zatem nie w synagodze, nie na uniwersytecie, nie w gabinetach wolnomyslicieli Zborski znajdzie partnera, z którym już ostatecznie stawi czoła złu. Musi zwrócić się w stronę środowiska, jakie do tej pory lekceważył, do którego było mu zbyt daleko, od którego uciekał.

W „Demonomachii” jej autor czerpie wiele ze swoich osobliwych kryminałów noir. Nastrój, scenografia, poobijany przez życie bohater z bardzo nieszcześliwym dzieciństwem. Wyuzdana nieco erotyka miesza się tu z Torą, Talmudem i teologią. Wbrew pozorom jest to szczególnym łącznikiem z wrocławskim radcą kryminalnym i lwowskim komisarzem policji, filologiem klasycznym i lingwistą znającym łacinę i grekę. Czy Stefan Zborski mógłby być bohaterem kolejnego cyklu? Całkiem prawdopodobne. Posmakował już przecież bardzo niestosownego seksu niczym Edward Popielski, zaś jak Eberhard Mock swoją powieściową przygodę przeżył w wieku studenckim. I świat, środowisko! Okropne, ciemne, wstrętne, obrzydliwe! Z jednej strony najbiedniejsze, najbardziej pokrzywdzone, wykorzystane do cna i pogardzane niziny społeczne. Z drugiej wyższa klasa społeczna, której perwersje Krajewski obnaża. Czyli pióro pisarza sięgnęło z fabułą o kilkanaście lat wcześniej, pozostając nadal na ziemiach polskich i w tym samym środowisku, ale zwracając się ku dotąd nie dostrzeganej przez autora części społeczeństwa i jej religijnym tradycjom, co z pewnością przyniosło dużo satysfakcji wielbicielom prozy Marka Krajewskiego.

Jerzy Lengauer

[1] Marek Krajewski, „Demonomachia”. Wydawnictwo Znak, 2022, s. 237-238.

[2] Tamże, s. 236-237.



Rys. Sławomir Łuczyński